Dodatek nadzwyczajny do „Wielkopolanina".

OGNISKO DOMOWE.

Nr. 45. | Ognisko wychodzi raz w tydzień. Cena pojedyńczego Nru. 5 fen. | Poznań, dnia 5 listopada. | Abonenci Wielkopolanina otrzymują pismo to bezpłatnie. | 1905.

JEDEN Z TYSIĄCA.

NAPISAŁ

NIGHT ATKIN.

(Tłomaczyła z angielskiego Jula D.)

Teodor Dod nie może pojąć, jakim sposobem przez czyje intrygi wymarzone małżeństwo jego prysło jak tęczowa bańska mydlana. Zapewne, że gdyby ktoś niewiadomy nie był się w to wmieszał, to zamiast stać za ladą wielkiego sklepu, byłby miljonerem.

Historya tego romansu była taka:

Pewnego dżdżystego dnia Dod wsiadł do tramwaju, jadąc jak zwykle, za interesami magazynu.

Czemprędzej wziął gazetę i zatonął w niej, by w razie, gdyby jaka dama weszła do przedziału, móc udać, że jej nie widzi i nie potrzebował ustąpić jej miejsca.

Przeczytał już o kilku zbrodniach, o powstaniu w jakimś zamorskim kraju i t. p. wiadomości. Zabrał się potem do ogłoszeń. Nagle krew uderzyła mu do głowy... Oto co przeczytał:

„Sierota, zamożna, pragnęłaby znaleźć młodego człowieka, któryby mógł ożenić się z nią i dać jej trochę serca i ciepła rodzinnego. Musi być wolnym od zajęć, aby mógł zarządzać dobrami żony."

— Boże: — myślał. — Jakżeż ja uszczęśliwiłbym tę biedaczkę. Co za miłość jej dałbym!

Cały dzień rozmyślał wciąż o sierocie. Tak był zajęty, że nie wiedział, co robi. Osobom, proszącym o tkaniny białe, dawał czarne i przeciwnie. Gdy mu zwrócono uwagę, zapomniał odpowiedzieć grzecznie. Powróciwszy do domu, przysiągł sobie, że odda całe swe życie sierocie. Jak on ją już kochał.

Trzeba napisać pod dany adres:

„Najdroższa! Choćbyś była kwiaciareczką uliczną, nie uwielbiałbym cię bardziej, niż cię teraz kocham..."

— Nie — pomyślał — to za bardzo czułe. Przecież my się jeszcze nie znamy.

„Szanowna Pani! Jeżeli pani rozkaże, przedstawię jej jaknajlepsze świadectwa.

— To znowu zbyt oficyalnie.

Po chwili zredagował tak wspaniały list, że marmurowy posąg uroniłby łzę rozczulenia nad gorącem uczuciem, a trzeźwemi zapatrywaniami piszącego te słowa.

Na szczęście nie długo oczekiwał na odpowiedź. Na drugi dzień wręczono mu różowy, woniejący bilecik. Rozerwał kopertę, drżąc.

Kochany panie Dod!

„Z pomiędzy tysiąca listów, jakie odebrałem, jedynie w pańskim znalazłem uczucia, jakich pragnę. Okropność pomyśleć, jaki ten świat interesowany. Każdy chciałby wzbogacić się pieniędzmi dwudziestoletniej dziewczyny. Czuję, że pan nie należysz jednak do ich liczby.

„Mam na jutrzejsze przedstawienie lożę A. w teatrze Wielkim. Może pan przyjdzie? Proszę przypiąć sobie czerwony gwoździk do butonierki. W czasie jednego z antraktów proszę mi się przedstawić.

Anna S.

„P. S. Zdaje mi się, że powinnam wspomnieć, iż mam sto tysięcy dolarów posagu, choć wiem, że pan nie przywiązuje wagi do tych drobnostek."

Całą noc Dod marzył o prześlicznem, wiotkiem dziewczęciu, które nosiło imię Anna i uśmiechało się doń wdzięcznie.

Na drugi dzień nie poszedł do zajęcia, lecz zaraz ranniutko pobiegł kupić krzesło w teatrze z miną taką, jak gdyby dotąd tylko w lożach siadywał. Przeczytał afisz: był to benefis niejakiego Mac Bult. Następnie nabył wspaniały gwoździk i kołnierzyk prawdziwie przerażająco wysoki.

Gdy wszedł do teatru, przedstawienie już się rozpoczęło; w sali panował półmrok. Na scenie Mac Bult śpiewał nad brzegiem rzeki, oświetlonej promieniami księżyca.

Tak było ciemno, że Dod nie mógł dojrzeć loży A. zajął się więc przedstawieniem.

Po skończeniu pierwszego aktu, salę oświetlono znowu. Dod zauważył, że prawie w całym teatrze wszyscy panowie mieli czerwone gwoździki u fraków, a tysiące lornetek zwracało się na lożę A, w której siedział jakiś starszy pan, zsiniały od gniewu i oburzenia.

* * *

Za kulisami Mac Bult robił jakieś rachunki na kawałku brudnego papieru.

— Pachnący papier, marki i ogłoszenie — dwanaście dolarów pięćdziesiąt centów. Czystego dochodu z przedstawienia tysiąc dolarów.

— No, nie tak źle obmyślone — mruknął, wracając na scenę.

Tej co odeszła...

Odlatujące widziałem żórawie
Za obce — wielkie — za nieznane morze.
Tak cicho — sennie — niewidzianie prawie
Wpływały zwolna w konającą zorzę —
Błędne — nie wiedząc, kędy im ostoja,
Tak ty odeszłaś, o, Miłości moja.

Jako te ptaki do obcego słońca
Odbiegłaś smutna swojego do domu.
Skupiona w sobie, a taka śpieszącą,
Jakbyś naprzeciw szła drogiemu komu,
W oną dalekość, która wstecz się toczy,
Łez pełne krwawych obracając oczy.

Żórawie lotne! wy wrócicie z wiosną
Na stare gniazda od tamtego brzegu,
Ale te kwiaty, co na zimę posną,
Te same kwiaty nie wstaną z pod śniegu.
I choć się łany zakwiecą rodzinne,
To już nie dawne będą kwiaty: inne!

Miłości moja! żórawianym lotem,
Jak one ptaki gnała cię — konieczność,
Ale — pątniczko — tyś wiedziała o tem,
Że nie w błękitów odchodzisz słoneczność
I czułaś, wlokąc skrzydła okrwawione,
Że to już życie jakby ukończone!..

I choćbyś z wonnym swemi bzami majem
Wskrzesała mi w duszy potarganej w szmaty:
Ty wiesz: pieśń inna będzie grała gajem!
Ty wiesz: to będą nie te same kwiaty!
A gdy tak śmierci obaczysz roboty,
To dość pomyśleć, by umrzeć z tęsknoty.

Or.-Ot.

„ALIBI.“

(ZE ŚLEDZTWA SĄDOWEGO)

NAPISAŁ

MAURYCY LEVEL.

(Tłomaczenie z francuzkiego.)

Sędzia śledczy nerwowym giestem bębnił marsza po stole — zamyślony.

Ten oskarżony ma rzeczywiście odpowiedź na wszystko. Najbardziej nieprzeparte argumenty zwalcza kilkoma słowy grzecznemi i umiarkowanemi. Nie nudzi daremnemi i niebezpiecznemi, wielomównemi zapewnieniami o swej niewinności; mówi właśnie tyle, ile potrzeba, chłodno, ze spokojnym uśmiechem. Robi wrażenie fechtmistrza, parującego uderzenie ruchem krótkim i suchym i powracającego potem do poprawnej pozycyi początkowej.

Ale cóż robić, trzeba dalej pełnić niewdzięczne rzemiosło.

— Nie zaprzecza pan jednak, że był pan wtajemniczony dokładnie w porządki wewnętrzne domu handlowego?

— Nigdy tego nie ukrywałem, panie sędzio.

— Urzędnicy wychodzili z biura o ósmej wieczorem; stróże nocni przychodzili dopiero o trzy na dziewiątą. Przez trzy kwadranse więc kasa pozostawała bez dozoru. Nie mógł pan nie wiedzieć o tym szczególe.

— A jednak nie wiedziałem o tem. Więcej powiem: gdybym podczas mego urzędowania w firmie Fortin & Cie wiedział o tem, byłbym zwrócił uwagę dyrekcyi na tę nieostrożność. I byłbym dobrze zrobił, dzięki niej bowiem złodzieje mogli rozbić kasę ogniotrwałą i przepaść potem bez wieści.

— Przypuśćmy. A teraz może pan zechce mi powiedzieć, gdzie pan był między ósmą i dziewiątą tego dnia, którego popełniono kradzież.

Bez chwili wahania oskarżony odparł:

— W restauracyi Lacroix na ulicy d'Italie.

— Ma pan pamięć rzadkiej dokładności. Zazwyczaj potrzeba kilku minut przynajmniej na to, aby przypomnieć sobie po dwóch tygodniach, jak się spędziło wieczór.

— Pamięć moja nie jest lepsza ani gorsza od wielu innych. Od dwóch dni wiem, jakie oskarżenie ciąży na mnie. Przed aresztowaniem czytałem w dziennikach, o której godzinie spełnioną została kradzież, o którą mnie podejrzywają. Więc miałem czterdzieści osiem godzin czasu na uporządkowanie moich wspomnień. Wydaje mi się to zupełnie naturalnem.

— A dokładny adres tej restauracyi? Ulica d'Italie jest długa...

— Przyznaję się, że nie uważałem... Ale, prawda... To może ułatwić poszukiwania. Mają tam telefon. Uderzył mnie ten szczegół, zauważywszy, że restauracya jest trzeciorzędna

Sędzia śledczy zajrzał do skorowidza.

— Istotnie, jest restauracya pod tą firmą.

I zwracając się do żandarma:

— Proszę wziąć dorożkę i sprowadzić mi zaraz tego pana Lacroix.

W badaniu nastąpiła przerwa. Sędzia śledczy przeglądał akta i notaty. Oskarżony rozmawiał spokojnie, półgłosem ze swoim adwokatem, jak człowiek, zabawiany i zajęty raczej tem, że losowi podobało się obarczyć go całym szeregiem ciężkich poszlak moralnych.

Ale nagle zwrócił się do sędziego śledczego:

— Czy pan sędzia pozwoli mi zadać mu także pytanie? Jeżeli pan posłał po tego restauratora, to zapewne w celu skonfrontowania go ze mną, w celu sprawdzenia alibi, na którem się opieram. Jeżeli to alibi zostanie uznane za prawdziwe, to nie bę-

dzie chyba trudności z wypuszczeniem mnie na wolność — przynajmniej prowizoryczną?

— Będzie pan musiał jeszcze wytłomaczyć, jakim sposobem i dla czego był pan o tej porze w dzielnicy tak oddalonej od mieszkania pana i gdzie nie powoływały pana pańskie interesy...

— Nic prostszego. Owego południa nie miałem nic do roboty. Spacerując bez celu, doszedłem aż do placu d'Italie. W czerwcu ściemnia się późno. Światło łudziło mnie i dopiero żołądek przypomniał mi, która godzina. Jestem kawalerem, nikt na mnie nie czeka, mogę jadać obiady, gdzie chcę, byle były tanie. Tu mi było najbliżej. Wszedłem do Lacroix, jak byłbym mógł wstąpić gdzieindziej.

Wszedł żandarm z restauratorem.

— Panie Lacroix, jest rzecz taka — zagadnął sędzia. — Chodzi o to, czy pan mógłbyś poznać kogoś, kto twierdzi, że jadł obiad w pańskiej restauracyi, przed dwoma tygodniami. Oto ten pan właśnie — dodał wskazując na oskarżonego.

— Panie sędzio, radbym z duszy i serca dać panu odpowiedź dokładną, ale to będzie trudno. W tej chwili na razie, wydaje mi się, że widzę tego pana po raz pierwszy w życiu. Ale twierdzić to stanowczo..

— Ale, przecież ten pan ubrany jest elegancko. W pańskiej dzielnicy, w okolicach placu d'Italie, gośćmi pańskiemi są przeważnie robotnicy, którzy przychodzą ubrani w bluzy robocze. Nie codzień zapewne masz pan klienta w cylindrze. A kiedy przypadkiem przyjdzie, łatwo go zapamiętać!...

— Phi!.. Wydajemy co wieczór sto do stu dwudziestu obiadów. Naszymi klientami są przeważnie robotnicy — to prawda. Ale trzecia część mniej więcej przypada na subjektów handlowych urzędników itd., którzy ubierają się bardzo elegancko. Na wieszakach wisi mniej może cylindrów i meloników, niż czapek, ale zawsze jest ich sporo.

— Czy kto może wejść tak, żeby go pan nie widział?

— Co to, to nie. Kasa jest naprzeciwko drzwi wchodowych; nie opuszczam jej przed godziną dziesiątą, czyli przed zamknięciem lokalu.

— A widzi pan? — zagadnął sędzia oskarżonego.

— Widzę tylko, że ten pan mnie nie poznaje. Ale przecież sam mówił tylko co, że to wcale niczego nie dowodzi.

— Ale jak dowieść, że pan istotnie był w tej restauracyi owego wieczora?

— Nie wiem, przyznaję. Chociaż pamiętam przecież, że tam był telefon. Nie wymyśliłem tego szczegółu, wszak prawda?

— Mógł pan to widzieć z ulicy. Często numer telefonu jest wymalowany wyraźnie na witrynie.

— Tak. I tak właśnie jest u mnie — wtrącił restaurator.

Oskarżony wzruszył ramionami.

— Może być. Ale ja nie widziałem numeru z zewnątrz. Widziałem, że był umieszczony na jadłospisie. Zresztą, panie sędzio, zastanówmy się chwilę. Przypuśćmy, że popełniłem kradzież i chcę sobie stworzyć „alibi.“ Czy w takim razie wszedłbym do pierwszej lepszej restauracyi, w tej samej dzielnicy, jak zwykły gość, który siada, zjada obiad, płaci i wychodzi, bez zwrócenia na siebie uwagi? Nie, sto razy nie! Byłbym wziął dorożkę, byłbym się udał do restauracyi, w której mnie znają i w tej chwili dwudziestu świadków zeznałoby, że jadłem tam obiad o wpół do dziewiątej. Jeszcze raz powtarzam: przed dwoma tygodniami, między ósmą a dziewiątą, byłem na obiedzie w restauracyi Lacroix. Na nieszczęście, nie mogę dowieść, że byłem tam, zarówno jak pan restaurator nie może dowieść, że nie byłem.

— Przepraszam, panie sędzio — wtrącił świadek. — Znalazłem sposób. Jeżeli ten pan był u mnie na obiedzie, może sobie przypomina, co jadł. Moje jadłospisy są ustalone na wszystkie dni tygodnia. Codzień cztery dania mięsne, każdego dnia inne. I tak w poniedziałek dajemy: pieczeń wołową, baraninę, potrawkę z kury i szynkę. We wtorek...

— To jest dobra myśl. Niech pan nie mówi dalej. Słyszałeś pan? Coś pan jadł?

— Przyznaję się otwarcie, że sobie nic a nic nie przypominam.

— Niech się pan namyśli.

— Jakże panowie chcecie, abym pamiętał tak drobny szczegółik. I to dobrze, że przypomniałem sobie, gdzie jadłem obiad. Ale co mi podawano...

— Niech pan usiłuje sobie przypomnieć...

— Nie, naprawdę nie pamiętam.

— Szkoda. „Alibi“ byłoby stwierdzone.

— Spodziewam się, że dam panu inne dowody swojej niewinności. Ale teraz, ciągle mi chodzi po głowie myśl, co jadłem tego wieczora. Będzie mnie prześladowała, a nic nie znam nieznośniejszego. Panie restauratorze, niechże mi pan powie, co było na obiad. Oczywiście, nie będzie to miało żadnej wagi dla pana sędziego. Więc cóż dajecie we środę?

— We środę mamy boczek barani, pieczeń cielęcą, kotlety i główkę cielęcą.

— Ach, cóż ze mnie za osioł. Co za osioł koronny. Bigatela! — Teraz przypominam sobie doskonale, że jadłem główkę cielęcą, dobierałem nawet dwa razy.

— Trzeba było to powiedzieć przed chwilą — odparł sędzia śledczy. — Panie Lacroix, dziękuję panu. Jeżeli będę pana jeszcze potrzebował, dam panu znać. Może pan odejść. A my, idźmy dalej. Albo nie. Już blisko droga, musi pan być głodny. Żeby czasu nie tracić, każę podać panu śniadanie tutaj. Weźmiemy się do śledztwa później. Niech pan powie żandarmowi, czego pan chce.

— Wszystko mi jedno. Niech przyniesie cokolwiek, co będzie gotowe.

Po chwili żandarm wrócił.

Oskarżony usiadł, rozłożył serwetkę i systematycznie, jak człowiek przyzwyczajony do wątpliwej czystości tanich jadłodajni, zaczął starannie wycierać

nóż, widelec i szklankę. Potem wziął złożone talerze, w których była umieszczona potrawa i zdjął talerz wierzchni.

— Ach!.. Ja..

— Cóż takiego? — zapytał sędzia.

— Nic.. Nic...

Nalał sobie pełną szklankę wina i wychylił ją duszkiem. Potem podniósł widelec i zastygł, nieruchomy.

— Może pan tego nie lubi? — zapytał żandarm.

— Ale skądże... owszem... bardzo...

Patrzył na talerz, ale nie jadł. Od czasu do czasu odwracał oczy i obcierał czoło, zroszone zimnym potem. Widząc, że zbladł, żandarm zwrócił się do niego:

— Jakoś nie idzie panu. Może pan tego nie lubi?..

— Cóżeście mu tam dali takiego? — zapytał sędzia niecierpliwie.

— Główkę cielęcą. Mówił tylko co..

— Ależ tak... ja to lubię... bardzo.

Ukrajał kawałek i poniósł go do ust. Ale zaledwie połknął go, zerwał się nagle, przewracając krzesło i butelkę. Jednym skokiem znalazł się przy oknie. Kiedy się odwrócił, oddychał ciężko, a po policzkach spływały mu grube łzy.

— To nic! — zauważył.

I usiadł, ukrajał sobie drugi kawałek, ale zamiast go podnieść do ust, rzucił widelec.

— Nie mogę. Zabierzcie to.

Odsunął talerz nerwowym gestem,

Sędzia śledczy przypatrywał mu się, nic nie pojmując.

— Nie może pan tego przełknąć?

I nagle uderzył się dłonią w czoło.

— Więc to tak. A u Lacroix dobierałeś pan główki cielęcej. Nie masz pan szczęścia. Złapałeś się we własne sidła. Noga pańska nigdy nie postała w restauracyi Lacroix. Źle pan wybrałeś potrawę z jego jadłospisu.

Oskarżony pociągnął jeszcze łyk z butelki.

— Prawda!.. Cóż robić. Robiłem, co mogłem, ale cóż pan chce, nie mogę nic nad to. Nie można przezwyciężyć wrodzonego wstrętu. Prędzejbym umarł, niż połknął to brzydactwo.

ROZMAITOSCI.

Słaba nadzieja na komorne.

Pewien właściciel domu mówi do lokatora, chcącego nająć pomieszkanie.

— Czy państwo rzeczywiście będziecie spokojnymi lokatorami?

— O co do tego to panu zaręczam, że tak spokojnie jak się wprowadzimy, tak się też wyprowadzimy, że pan nie spostrzeże.

Nieomylny środek.

— Doktorze! przysłałam do ciebie poradzić się w mojej biedzie. Wyobraź sobie, mąż zwykle wraca do domu tak rozdrażniony, że najniewinniejsze słówko doprowadza go do gniewu. Czy nie ma na to jakiego środka?

— Owszem jest i bardzo skuteczny. Dam pani flaszeczkę wody, która się nazywa aqua fontana; ile razy mąż pani się rozgniewa, weź w usta łyżeczkę tej wody i trzymaj ją przynajmniej pięć minut. Przekonasz się pani, że mąż natychmiast ochłonie.

W sądzie.

Sędzia do złodzieja. — Nie mówiłem wam już dawniej, że was tutaj już nie chcę widzieć?

Złodziej. — O tak, tak prześwietny sędzio. Ja to powtórzyłem żandarmowi, ale nie chciał mi wierzyć.

Sędzia do oskarżonego. — Musisz udowodnić, gdzie byłeś od godziny szóstej po południu do dwunastej w nocy?

— U wuja, panie sędzio.

— Cóżeś tam u niego robił tak długo?

— Chciałem pożyczyć dwadzieścia marek.

— Jakto, przez tyle godzin starałeś się o pożyczkę dwudziestu tylko marek, to fałsz.

— Niechno pan sędzia sprobuje wydusić z niego choć połowę tej sumy, a przekona się, że mówię prawdę.

Sędzia do złodzieja. — Dziesięć lat od ostatniego razu trzymaliście się, aż was teraz znowu na kradzieży złapano.

Złodziej. — Ha! postarzałem się, nogi osłabły, więc już nie mogę tak szybko uciekać, jak dawniej uciekałem.

Sędzia. — Zeznanie żony na korzyść męża nie może naturalnie mieć wielkiego znaczenia?

Oskarżony. — Przepraszam pana sędziego, ale jeżeli moja stara raz znajdzie co dobrego we mnie, to jej trzeba dać wiarę.

Szybka nauka pisania.

W Berlinie pewna wdowa utrzymująca piwiarnią, upodobała sobie parobka i wyszła za niego. Młody mąż nie umiał pisać, nie umiał nawet podpisać swego imiennia „Otto“. Otóż małżonka tak go pouczyła. Gdy kto zażąda wielkiego kufla piwa, zanim zapłaci, napisz kredą na tablicy wielkie kółko, za dwa koniaki napisz dwie kreski, a za mały kufelek piwa napisz małe kółko, a będziesz miał imię O I I o.

Widoki na przyszłość.

Matka kołysząc dziecko śpiewa. — Śpij aniołku śpij.

Drugi malec, który przed chwilą dostał w skórę, woła. — Aha! aniołku, a jak podrośniesz, to dostaniesz kijem.

Nakładem i drukiem Fr. Chocieszyńskiego w Poznaniu. — Redaktor odpowiedzialny Józef Szmyt w Poznaniu.